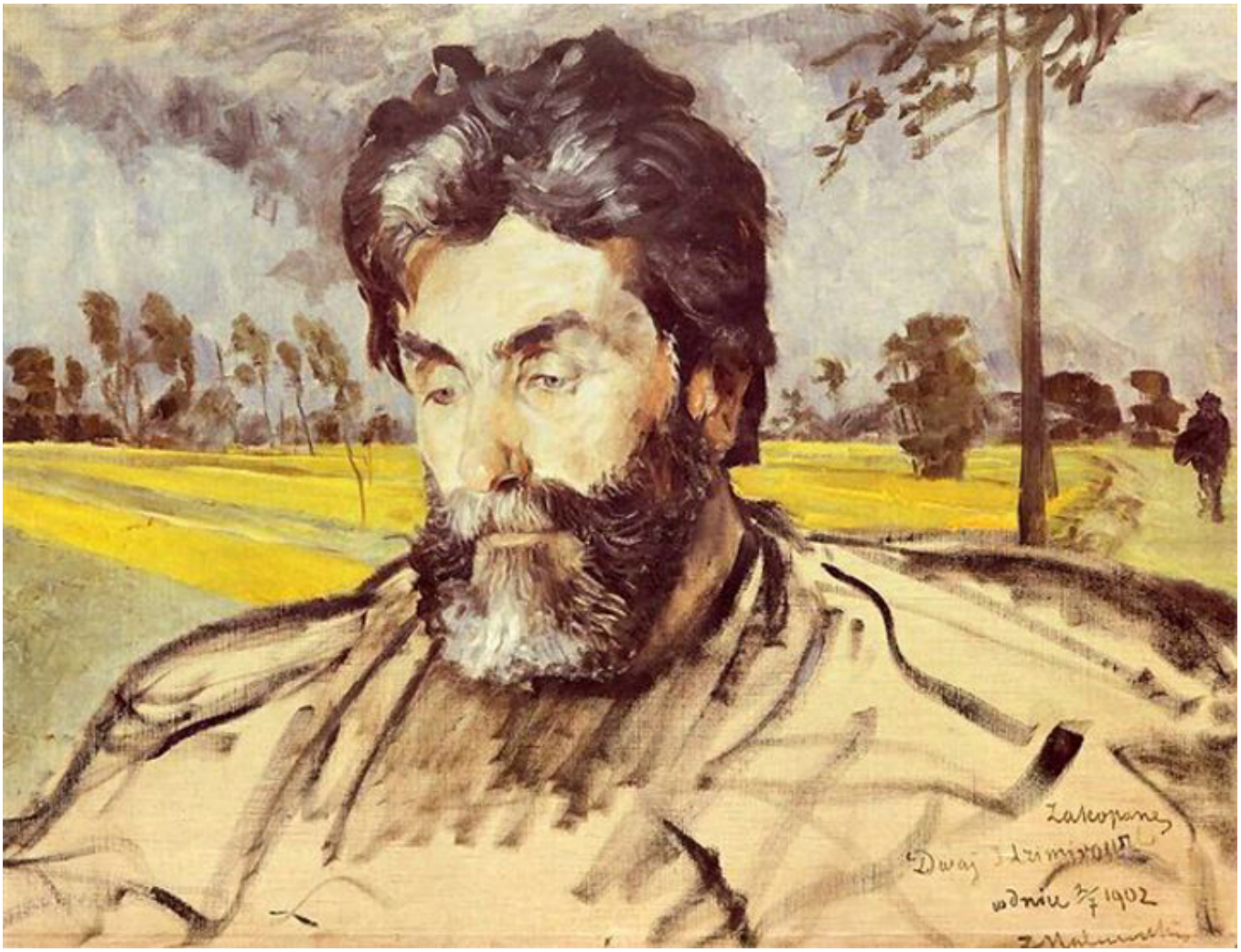
Witkiewicz i „czapka Ziuka”



Jacek Malczewski – Portret Stanisława Witkiewicza 1902. Olej na płótnie. Muzeum Stylu Zakopiańskiego, willa „Koliba”.

Włodzimierz Wójcik

Wielekroć w sezonie wakacyjnym, udając się na Istrię, przejeżdżałem przez Lovran (miasteczko na półwyspie Istria w Chorwacji, red.) Wówczas ogarniało mnie prawdziwe wzruszenie. To właśnie w tej malowniczej nadmorskiej kuracyjnej miejscowości spędzał ostatnie lata życia Stanisław Witkiewicz, zmarły jesienią, 5 września 1915 roku, przeżywszy 64 lata. To tutaj w pierwszych latach XX wieku odwiedzał go Józef Piłsudski. Nic dziwnego, że między 6 sierpnia a 11 listopada przychodzą mi na myśl dwa nazwiska: wielkiego polskiego artysty Stanisława Witkiewicza i żołnierza Niepodległości, Józefa Piłsudskiego. Obydwaj byli przez całe życie opętani Polską i polskością.

Jako malarz realista-impresjonista – po studiach w Petersburgu i Monachium – dokumentował na swoich płótnach głęboką miłość do polskiego morza i ukochanych tatrzańskich skał, swojskiego pejzażu wiejskiego, rolników w trudzie uprawiających ojczysty zagon. Portretował górali i działaczy podhalańskich, takich, jak Sabała-Krzeptowski czy Tytus Chałubiński. Wiele dzieł plastycznych poświęcił scenom z powstania 1863 roku. Był przednim krytykiem sztuki. W roku 1891 wydał drukiem wcześniej ogłaszane w „Wędrowcu" studia *Sztuka i krytyka u nas*. Napisał bardzo wartościowe monografie: Juliusza Kossaka, Aleksandra Gierymskiego i Jana Matejki. Osiadł w roku 1890 w Zakopanem. Stworzył w architekturze Podhala kierunek zwany

„stylem zakopiańskim”. Według jego projektu powstała znana powszechnie willa „Pod Jedlami” Pawlikowskich, „Koliba”, „Łada”, „Korwinówka” oraz kaplica Najświętszego Serca Jezusowego w Jaszczurówce. Oglądanie tych budowli stanowi wielką przyjemność. Emanuje z nich ciepło, poczucie bezpieczeństwa, swojszczyzna, harmonia.

Witkiewicz w pracy *Mickiewicz jako kolorysta* (1883) wskazywał na impresjonistyczne widzenie świata w pismach autora *Pana Tadeusza*. W szkicach i nowelach *Na przełęczy* (1891) oraz *Z Tatr* (1907) widać fascynację artysty pierwotnymi formami życia ludu na tle natury. Wychowany w kulcie powstania styczniowego, ukazując piękno ojczystej natury oraz wzbogacając polską kulturę, Witkiewicz manifestował swój szczery patriotyzm.

Nie przypadkowo tedy legendarny już spiskowiec Piłsudski, „Mieczysław” zwrócił się do Witkiewicza, z którym czuł się spokrewniony przez rodzinę matki i nazywał go Wujaszkiem. Zamierzał wyzyskać jego autorytet i jego talent na rzecz polskiego irredentyzmu. Piłsudski-Ziuk był przekonany o tym, że wolność kraju zdobywa się nie tylko szablą, ale także budowaniem w ludzkich duszach tęsknoty za wolnością. Sam przecież żył w orbicie ducha Juliusza Słowackiego. Pisarze i artyści w służbie narodu mieli budować poczucie polskiej tożsamości, budzić naród z uśpienia. Piłsudskiemu zależało na zjednaniu dla ruchu niepodległościowego Wyspiańskiego,

Żeromskiego, Witkiewicza i im mentalnie podobnych. Witkiewicz cenił „Ziuka", ale początkowo – w latach 1902-1903 – nie bardzo wierzył w skuteczność działania „ludzi podziemnych". Po kolejnym kontakcie z Piłsudskim w 1909 powoli zmieniał swoje poglądy i zaczął go wspierać, o czym świadczy korespondencja między nimi.

W rok po śmierci pisarza Polacy mogli przeczytać, będącą w obiegu czytelniczym, skromną książeczkę Witkiewicza pod tytułem *Ostatnie słowa. Wyjątki z listów do siostry, sierpień 1914 – sierpień 1915*, którą ogłoszono drukiem w Piotrkowie w Wydawnictwie „Wiadomości Polskie". Publikacja ze słowami wielkiego twórcy wypowiadanymi niejako „zza grobu" bez wątpienia miała walory legendotwórcze w odniesieniu do Komendanta i jego legionowych „chłopców". Te fragmenty listów Witkiewicza do siostry składały się w sumie na dość spójny wywód. Autor dzieła *Na przełęczy* zdecydowanie – we wspomnianych listach – piętnował wszelkie przejawy lojalizmu części naszego społeczeństwa w stosunku do zaborców i rozbiorców Polski. Skutecznym środkiem na te schorzenia narodowe jest – zdaniem pisarza – stworzenie zarodka sił zbrojnych. Kiedy jego zamysł zaczął się realizować, Witkiewicz powitał ten fakt entuzjastycznie.

> Strzelcy wprowadzają do historii na powrót siłę, którą ludzie

> przywykli uważać za dawno zniszczoną

– pisał 21 sierpnia 1914 roku. 24 września dodawał:

> Żyjemy, jesteśmy i zajmujemy na powrót miejsce w historii, pod własnym imieniem – to jest życie – to najważniejsze.

Do tematu walk legionowych bezustannie wracał. 4 grudnia wyznawał:

> Ludzie nędzni, upadli z wygniłym sumieniem polskim byli – nowym i szczęśliwym jest to odrodzenie, mało Ich – ALE SĄ, A zdawało się, że Ich nie będzie nigdy. Więc cieszcie się Nim!

W roku następnym – 5 kwietnia 1915 – postawił kropkę nad „i”. Swoje poglądy wyraził całkiem jednoznacznie:

> Legiony są istotą polskiego życia i jakikolwiek będzie skutek ich czynu dalszy, ostateczny, samo życie, takie jak ich, jest najdoskonalszym życiem polskim. Jest tą górną chwilą, o której marzył Mickiewicz.



Muzeum Stylu Zakopiańskiego, willa „Koliba”, fot pinterest.

Zdawał sobie sprawę z ważnej roli piśmiennictwa narodowego w propagowaniu idei walki o wolność. Uważał, że teksty literackie oraz pocztówki z obrazami o tematyce patriotycznej winny być przerzucane samolotami na linię frontu. Rozumiał siłę oddziaływania legendy literackiej i artystycznej współczesnych bohaterów narodowych na umysły rodaków. Legenda taka miewa – według niego – siłę większą, niż żelazny oręż, Cieszył się, że ogłoszone jego listy do siostry na coś się przydają w procesie propagowania czynu legionowego. Żałował, że zakopiański Sabała już nie żyje. On swoim talentem gawędziarskim wzmocnił by legendę Piłsudskiego.

Według Witkiewicza Brygadier był fascynującym uosobieniem

najszlachetniejszych cech narodu.

> Patrzę na czapkę Ziuka – pisał 13 sierpnia 1914 – i myślę o Nich wszystkich.

Ubolewał, że – jako fizycznie słaby – nie może iść do okopów. Ale z wielkim zaangażowaniem – jako człowiek pióra – sławił czyny żołnierskie. 7 listopada tegoż roku wyznawał:

> Postać Piłsudskiego jest czystą emanacją dzisiejszych czasów. […] To jest właśnie człowiek, który był KONIECZNY, dlatego to, co On czyni, staje się w sposób cudowny. Ach Ziuk!

W ten jesienny wieczór (mój przyjaciel Florian Śmieja nazywa obecną porę roku bardzo pięknie: „PODZIM") przeglądam z sentymentem nieco sfatygowany egzemplarz książki Witkiewicza z listami do siostry. Myślę z wielkim ciepłem o autorze *Ostatnich słów*. Na jego mogiłę na Pęksowym Brzyzku z pewnością spadają żółto-brązowe liście klonu. Podobna sceneria jest zapewne na cmentarzu na Rossie, gdzie widnieje płyta MATKA I SERCE SYNA. Myślę, że mogiły te symbolizują SŁOWO i CZYN. Z nich właśnie zrodziła się nasza

Rzeczpospolita. Nie trzecia, czwarta, czy piąta. Ale jedna, jedyna…

Literackie zaułki pamięci

Z prof. Florianem Śmieją o wspomnieniach na temat przedstawicieli literatury emigracyjnej zebranych w książce „Zbliżenia i kontakty” – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Florian Śmieja wraz z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. rodzinne.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Często wracam do Pana książki, przepięknie wydanej przez Bibliotekę Śląską w Katowicach, „Zbliżenia i kontakty”. Ten zbiór szkiców napisany lekkim, barwnym językiem, przywołuje bardziej lub mniej znaczące postaci polskiej literatury emigracyjnej. Gdy zagłębiam się w ten literacki zbiór wspomnień, mam wrażenie, że uczestniczę w spacerze w przeszłość, odtwarzającym to, co spotkani ludzie zostawili po sobie w Pana pamięci. O istnieniu wielu osób dowiedziałam się dopiero z kart Pana książki. Czy Pana zamierzeniem było, aby powstał taki właśnie zbiór literackich pamiątek z powojennego Londynu?

FŚ: Nicią wiążącą tego zbioru w istocie są osoby, które spotkałem w Londynie. Ludziom, z którymi byłem dłużej, do których się zbliżyłem, poświęciłem więcej miejsca. Kontakty z innymi jedynie zasygnalizowałem. Chciałem utrwalić wszystko to, z czym osobiście się spotykałem. Próbowałem też zachować pamięć pewnych ludzi, którzy może nie byli na „świeczniku", ale byli interesujący. Stąd w książce pojawiają się nazwiska, które nie pochodzą z kanonu literatury emigracyjnej i nie tylko z Londynu. Myślę tu np. o Danucie Irenie Bieńkowskiej, której poświęciłem mały urywek. Mieszkała w Toronto, była nieszczęśliwą osobą, miała duży talent, którego nie potrafiła spożytkować, zginęła tragicznie i nagle wszystko się urwało. Ponieważ nie dbała o swoje „wzięcie" wśród Polonii, to zaczęto ją opuszczać. W dużej książce wydanej w 1989 przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie, *Polska, wczoraj i dziś*, nie ma jej nazwiska, jakby tutaj nigdy jej nie było. A ona odegrała ważną rolę na polonistyce i jako postać była ciekawa. Moim celem była na pewno próba ratowania kogoś takiego. Są ludzie, którzy potrafią dbać o siebie, ale są tacy, którzy nie mają tego daru i przechodzą niepostrzeżenie.

JSG: W jednej z wypowiedzi na temat książki zauważył Pan, że *utrwalanie pamięci opisanej w osobistych relacjach jest jednym ze sposobów odzyskiwania przeszłości*. Czy czuł Pan potrzebę opowiedzenia o autorach, z którymi się Pan zetknął i o atmosferze tamtych londyńskich lat, gdyż nikt

inny tego tak nie zrobi?

FŚ: Zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że pamięć nasza jest bardzo krucha. Po jakimś czasie w głowie powstają zbitki faktów i wyobrażeń, których człowiek nie potrafi rozróżnić. Dobrze jest zapisywać różne szczegóły, anegdoty, zachować daty. Bo tak na prawdę życie dużo szybciej biegnie, niż sobie wyobrażamy i szalenie trudno jest potem coś odtworzyć. Nie powinno się dopuścić do sytuacji, że jest dzieło, a nie widać twórców, jakby się nie liczyli, jakby ich twórczość była samorodna. Ja byłem w grupie poetów w Londynie. Ci, którzy żyją i potrafią coś jeszcze powiedzieć, mają tam odpowiednie świadectwo czy zapis, ale ci, którzy odeszli, jak np. Zygmunt Ławrynowicz, to jakby przestali istnieć. Nikt nie wydaje ich wierszy, nikt o nich nie mówi. W mojej książce wspominam wiersze Ławrynowicza, wyciągnąłem ponadto z listów różne jego wypowiedzi. Jest to smutna opowieść, ale coś o nim mówi. Ktoś inny może się na tym oprze i coś więcej dopisze w przyszłości. Sądzę, że są to obowiązki, które ciążą na żyjących. Takie wspomnienia na pewno właściwie wzbogacą panoramę emigracyjną.

JSG: Czyli jest to książka nie tylko oddająca sprawiedliwość tym, o których zapomniano, ale również służąca przyszłym pokoleniom, jako przyczynek do dalszych badań nad kulturą i literaturą emigracyjną.

FS: Ludzie, którzy tyle słyszeli o Londynie i powojennej emigracji, cóż zastaną, gdy tam pojadą? Dawne domy, cmentarze i dzieła. Ale w tych dziełach przecież nie wszystko się zachowało. Jest jeszcze aura, otoczka wokół ludzi, która była znana tylko współczesnym. Innym łatwiej będzie się domyślić, jeżeli będą mieli przesłanki, chociażby w postaci okruchów pamięci, jakie zebrałem w tej książce.

JSG: Przy takim budowaniu po czasie historii z okruchów pamięci istnieje ryzyko, że obraz ludzi, pojawiający się w szkicach jest pokazany wyłącznie poprzez Pana spojrzenie.

FS: Czekam na dalsze echa ludzi, którzy byli współobecni, którzy te same rzeczy widzieli, może nieco inaczej. Wtedy będzie kilka spojrzeń, co jest dobre, bo wówczas łatwiej o obiektywizm, o historyczną syntezę. Nie łudźmy się, jesteśmy ukształtowani w pewien sposób i to, co oglądamy, czy to, co czujemy, oddajemy przez pryzmat naszej formacji. I nawet niechcący mówimy inaczej, niż powie ktoś inny. Poprzez wiele zdań kształtuje się właściwy obraz. Unikniemy cynizmu, że wszystko jest hagiografią, że o umarłych należy tylko dobrze mówić. A my chcemy widzieć człowieka, który miał krew w żyłach.

JSG: Starał się więc Pan, żeby obraz wspomnianych postaci był jak najbardziej prawdziwy.

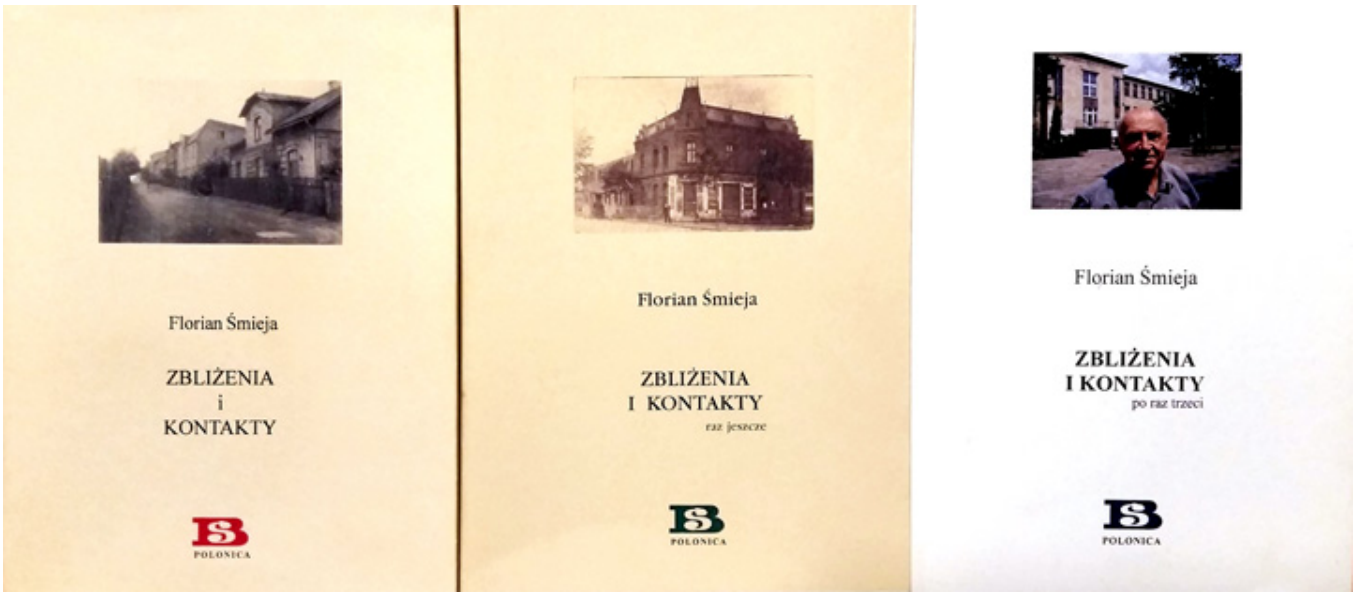
FS: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Czy postaci z Pana wspomnień, które zajmują w Pana pamięci najwięcej miejsca wyznaczały jakiś kierunek w układaniu całego zbioru szkiców?

FS: Tak, na początku pewne postacie bardziej mnie zafrapowały. Np. Paweł Łysek, którego powieści recenzowałem, z którym się przyjaźniłem i czułem potrzebę, żeby napisać o nim jakiś większy szkic. Potem tych postaci zaczęło przybywać, zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że to jest dobra droga i szukałem w swojej pamięci osoby, o której mogłem coś więcej powiedzieć. Ponieważ pracowałem u dr Jerzego Pietrkiewicza, jako asystent, napisałem o nim. Ale potem stwierdziłem, że szkice na temat krótkich kontaktów, też mogą być ciekawe. Wśród swoich papierów, znalazłem ciekawostkę, dwustronicowe przemówienie o Miłoszu, kiedy nas po raz drugi odwiedził w Londynie i kończył akurat 50 lat. Ja wtedy jako młody człowiek witałem tę bardzo ciekawą postać, która zadaje kłam naszym teoriom, że nie można pisać na

emigracji, bo co roku pisze wielką książkę. Miłosz odpowiedział listem, podziękował i powiedział, że traktowaliśmy go faktycznie jak jakiegoś jubilata. A wtedy przecież jeszcze nikomu się nie śniło o nagrodach i że właśnie ten Miłosz stanie się sztandarowym, wielkim polskim pisarzem.

I tak powstał zbiór – „Zbliżenia i kontakty”.



Ukazały się trzy tomy „Zbliżeń i kontaktów”.

JSG: We wstępie do książki pisze Pan o wspaniałej, barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Pan tę polską kulturę emigracyjną współtworzył. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

FS: Wtedy w Londynie mieliśmy do czynienia z szalonym

dynamizmem idealizmu. Po zakończeniu działań wojennych, wśród byłych żołnierzy było wiele zapału i ta energia zaowocowała w inny sposób. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których w wielu wypadkach nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia to kraj z tradycją i nie ma tam takiej możliwości zasymilowania się. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności. Ludzie chcieli być ze sobą i robili dla siebie różne rzeczy. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, nikt nikomu nie płacił, wszystko prawie było honorowe. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. I stąd te wielkie osiągnięcia, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych. Ludzie pisali pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących, ale i dla innych. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Jednym z takich przejawów aktywności kulturowej z tamtego czasu, jest grupa *Kontynenty*, której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma. Jak powstała ta grupa?

FS: W 1951 roku zostałem redaktorem *Życia Akademickiego* (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego *Życie*). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadowala. Wtedy *Życie Akademickie* przerodziło się w pismo *Merkuriusz Polski* i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w *Merkuriuszu* po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo *Kontynenty*. Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk.

Teraz *Kontynenty* są szlagierem w Polsce. Na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie.

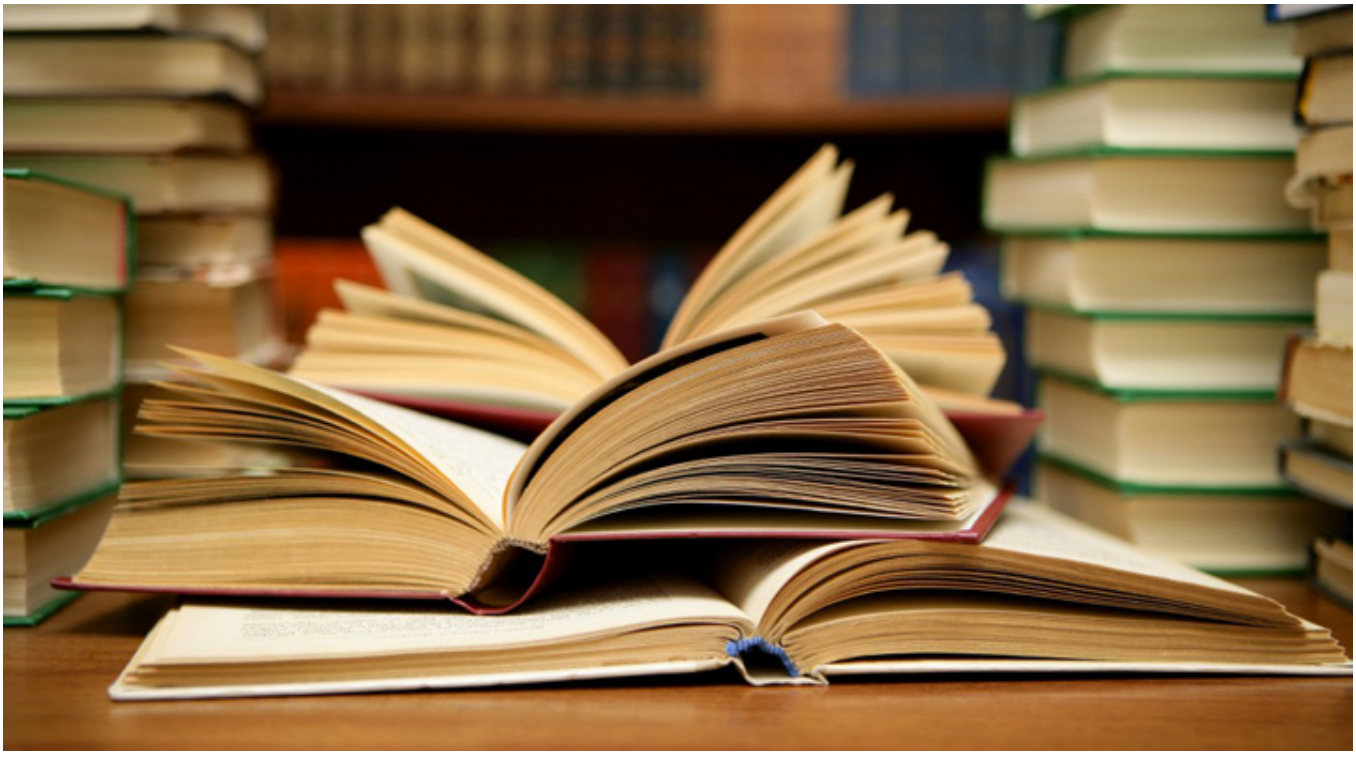
JSG: Panie Profesorze. Co mógłby Pan powiedzieć młodym, zbuntowanym, dopiero debiutującym poetom? Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim, którzy pragną tworzyć? Jak odróżnić posiadanie talentu od chęci „zostania poetą”?

FS: Jeżeli człowiek nosi w sobie jakieś istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił. Nie ma krótkiej drogi do sukcesu.

rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Zbliżenia i kontakty”, T. I, wyd. Biblioteka Śląska 2003, „Zbliżenia i kontakty raz jeszcze”, T. II, wyd. Biblioteka Śląska

2007, „Zbliżenia i kontakty po raz trzeci”, T. III, wyd. Biblioteka Śląska 2015.



Florian Śmieja urodził się 2 sierpnia 1925 roku w Kończycach, obecnie dzielnicy Zabrza. Do 1939 roku ukończył dwie klasy gimnazjum w Tarnowskich Górach. W roku 1940 wywieziony został na roboty przymusowe do Niemiec, skąd udało mu się zbiec do Belgii, gdzie ukrywał się do wkroczenia, w sierpniu 1944 roku, 1. Polskiej Dywizji Pancernej gen. St. Maczka. Przedostał się wówczas do Anglii, gdzie wstąpił ochotniczo do 1

Korpusu. Po wojnie, po zdaniu egzaminu maturalnego w gimnazjum polskim w Szkocji, w latach 1947-50 studiował anglistykę oraz literaturę i język hiszpański w *National University of Ireland* w Cork, uzyskując dyplom *Bachelor of Arts*. Do 1955 roku był asystentem i lektorem języka polskiego *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie; w roku 1955 uzyskał tytuł Master of Arts. Doktoryzował się w 1962 roku w *King's College* w Londynie. Wykładał hispanistykę w uniwersytecie londyńskim i w Nottingham. Gdy w 1969 roku przeniósł się do Kanady, podjął pracę jako gościnny nadzwyczajny profesor w *University of Western Ontario* w mieście London. Profesorem zwyczajnym tego uniwersytetu został w 1970 roku. W tym samym i w 1974 roku wygłosił cykl wykładów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Posiada także tytuł profesora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Po przejściu na emeryturę w 1991 roku, pracował nadal na kanadyjskim uniwersytecie w London. Wykładał na wydziale iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego, w uniwersytetach w Ostrawie i w Wilnie. Współpracował z Uniwersytetem Opolskim i Akademią Polonijną w Częstochowie. Stale mieszka w Mississaudze w Kanadzie.

Florian Śmieja publikował na łamach wielu pism londyńskich i krajowych, pism akademickich – hiszpańskich, anglojęzycznych i polskich. Wydał kilkanaście tomików wierszy. Jest współredaktorem, obok Wacława Iwaniuka, antologii *Seven*

Polish-Canadian Poets (1984). Przełożył i opublikował w języku polskim liczne utwory autorów hiszpańskich i hiszpańskojęzycznych. Od ponad pięćdziesięciu lat ubiegłego wieku, w czasopismach polonijnych, krajowych i hiszpańskich ukazują się jego artykuły krytyczne, opracowania, wywiady. W maju 2015 r. otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Został też odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej, przyznanym przez króla Hiszpanii Filipa VI. Profesor Florian Śmieja ciągle jest twórczy i aktywny.

Myśleć obrazami

Wieczór poezji Andrzeja Buszy w Konsulacie Generalnym RP w Toronto



Florian Śmieja (z lewej) i Andrzej Busza (z prawej) w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, fot. Nicholas Kusiba.

Justyna Budzik

Spotkanie ze sztuką w wymiarze literackim, malarskim czy muzycznym może stać się wydarzeniem, które poruszy najczulsze struny wrażliwego na piękno odbiorcy. Koneser i pasjonat takich doznań szczególną radość czerpie zapewne również z chwil, w których dane mu jest uczestniczyć w „misterium" korespondencji sztuk, kiedy słowo poetyckie splata się z obrazem malarskim, filmowym czy muzycznym. Jednym z takich wydarzeń, podczas którego motywem przewodnim stał się właśnie synkretyzm sztuk, był wieczór poezji Andrzeja Buszy, który odbył się 25 kwietnia 2017 roku w Konsulacie Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w

Toronto. W spotkaniu uczestniczyli Konsul Generalny RP w Toronto Grzegorz Morawski, Konsul Andrzej Szydło, a także zaproszeni goście. Byli wśród nich m. in. poeci – Profesor Florian Śmieja, Edward Zyman, Marek Kusiba, oraz wielu miłośników poezji. Podczas wieczoru odbyła się promocja tomu wierszy wybranych Andrzeja Buszy Atol, który został wydany w 2016 roku przez Polski Fundusz Wydawniczy w Toronto i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza".

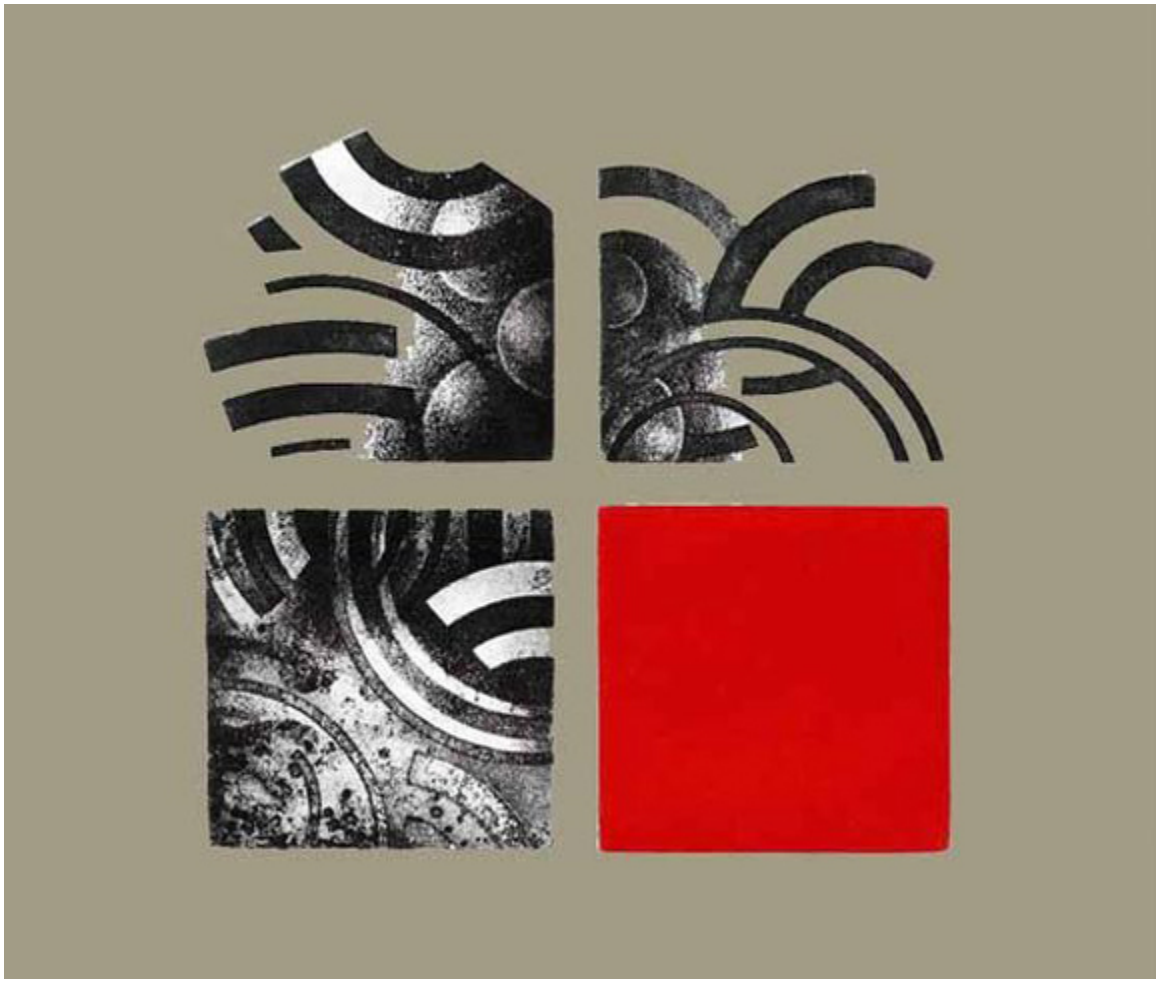
Od ponad dziesięciu lat naukowo zajmuję się twórczością polskich poetów zamieszkałych w Kanadzie. Od dłuższego czasu moje badania ogniskują się właśnie wokół anglojęzycznej poezji Andrzeja Buszy, dlatego propozycja wzięcia udziału w wieczorze i poprowadzenia rozmowy z poetą była dla mnie wyróżnieniem i przyjęłam ją z radością.

O tej twórczości wiele już napisano i trudno ją skrótowo przedstawić. Niech więc garść zebranych tu refleksji posłuży jako skromne wprowadzenie w świat wyobraźni poetyckiej autora Obrazów z życia Laquedema.

Andrzej Busza to poeta, tłumacz, eseista, historyk literatury i profesor emeritus Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej, gdzie przez wiele lat wykładał literaturę brytyjską. Przed wyjazdem do kanadyjskiego Vancouver, współtworzył w Londynie poetycką grupę „Kontynenty", do której należeli również Florian Śmieja,

Bogdan Czaykowski, Zygmunt Ławrynowicz, Jan Darowski, Bolesław Taborski, Jerzy Stanisław Sito, Janusz Artur Ihnatowicz i Adam Czerniawski. W rys biograficzny Buszy, podobnie jak w przypadku Śmieji i Czaykowskiego, mocno wpisuje się motyw nieustannych przesunięć na mapie świata, zmiany miejsc zamieszkania, nie dziwi więc fakt, że wątek Ahaswera to jeden z wyróżniających jego lirykę motywów. Próba określenia własnego miejsca w świecie z czasem wyparta zostaje przez zupełnie inne wartościowanie, i Kraków (miejsce urodzenia poety), Palestyna, gdzie mieszkał jako dziecko, czy Londyn, z którego wyjechał do Kanady na zaproszenie Bogdana Czaykowskiego, to dla autora poematu Kohelet miejsca na pewno sentymentalne, do których powraca się dosłownie lub cierpliwą i niesłabnąca pamięcią, nie są one jednak przestrzeniami ostatecznego zadomowienia. W ich określeniu poeta posługuje się zupełnie innymi kryteriami. To właśnie szeroko pojęta kultura zachodnioeuropejska, a więc literatura, malarstwo i muzyka, staje się jego wewnętrznym azylem i najbezpieczniejszą arkadią. Dusza utęskniona wraca więc w tej poezji do miejsca symbolicznego, a poetycka persona (istotny wyróżnik liryki Buszy, który ma na celu zobiektywizowanie wszelkich przedstawień) nawiedza komnaty Szekspirowskiego zamku w Elsynorze (Powrót Hamleta), staje się jedną z biblijnych postaci (Łazarz), innym razem ulotną chwilę rzeczywistości wpisuje w ramy jednego z Chagallowskich obrazów, subtelnie podkreślając w ten sposób, jak cienka może być granica oddzielająca to, co realne, od tego, co artystycznie

przetworzone…



Leszek Wyczółkowski

Właśnie takie spojrzenie na ludzką egzystencję, umiejętność kadrowania rzeczywistości, nieustannego wojażowania w świecie literatury (głównie anglosaskiej), malarstwa i muzyki, czego świadectwem jest cała liryka Andrzeja Buszy, było głównym tematem dyskusji podczas wieczoru poezji w Konsulacie RP w Toronto. Wiersz List do wszechświata, który poeta odczytał na początku spotkania, skłonił do refleksji, jaka może towarzyszyć

uważnemu czytelnikowi tej poezji już przy lekturze debiutanckiego tomiku Znaki wodne, i która sytuuje jego „światopogląd” (termin Martina Heideggera) w przestrzeni myśli egzystencjalnej, nierzadko głęboko pesymistycznej, czy wręcz gnostycznej. Jak odnaleźć się w świecie, w którym wszystko zmienia się w szaleńczym pędzie, gdzie człowiek próbuje przechytrzyć naturalne prawa ludzkiej egzystencji, o to również poeta zapyta w przywołanym liryku:

> Drogi Wszechświecie, nie masz dość
>
> Tych wściekle mnożących się mikrobów
>
> Tworzących teorię twojej niezniszczalności (…)
>
> Czy nie wolałbyś (…)
>
> Bezczasowego pokoju i ciszy.

W pytaniach tych ujawnia się poetycka ironia, a może i rezygnacja… Uczucia te zapewne wiążą się z tymi, których echa słychać w wielu zbiorach poetyckich Buszy, mianowicie z niepewnością, lękiem czy też świadomością emocjonalnego nieprzystawania/ nieprzynależenia do współczesnego świata. Eskapistyczna potrzeba zostaje w tej poezji zaspokojona właśnie

poprzez świadomie i konsekwentnie budowany alternatywny świat kulturowy. Poeta wciąż przebywa w przestrzeni obrazów, bo jak sam wyznał podczas wieczoru poezji, myśli obrazami, które układają się w tej liryce palimpsestowo. Ukojenie przynoszą więc na przykład obrazy malarskie, o czym zaświadcza chociażby liryk Pory roku, odczytany podczas spotkania w Toronto w swej pierwotnej – angielskiej wersji (Andrzej Busza od lat 70. tworzy i publikuje wiersze w języku angielskim) oraz w polskim tłumaczeniu autorstwa Bogdana Czaykowskiego. Przywołani tu zostają wielcy mistrzowie płócien, postimpresjoniści, prerafaelici, a poeta tworzy słowem idylliczny obraz, niczym te z liryków brytyjskiego romantyka Johna Keatsa.

Te poetyckie (malarskie) galerie wzbogacają takie wiersze jak Klowni na deszczu i wietrze czy Szkic burzy. W tym ostatnim ujawnia się już niemal filmowe kadrowanie rzeczywistości. W rozmowie Andrzej Busza podkreślił, że w jego własnym procesie twórczym jednym ze źródeł artykułowania jest właśnie film. W ten sposób w przestrzeni poetyckiej diegezy powstały kolejne filmowe ujęcia lirycznych i filozoficznych zarazem refleksji Buszy. Myślę tu w szczególności o dwóch wierszach – Powrót Hamleta i Łazarz, które, jak wyznaje poeta, inspirowane były jego życiowymi doświadczeniami. W pierwszym, ja poetyckie zakłada Hamletowską maskę i już pośmiertnie, jako zjawa, powraca na zamek w Elsynorze. Okoliczności powstania tego wiersza, jak wyjaśnia poeta, związane były z jego przejściem na

emeryturę i odejściem z uniwersytetu. Po jakimś czasie odwiedził swe dawne miejsce pracy, a uczucia, jakie mu wówczas towarzyszyły, wywołały skojarzenia z Szekspirowskim dramatem. Wiersz Łazarz powstał jako owoc bolesnej straty przyjaciela i poety Bogdana Czaykowskiego. Oba liryki są kolejnym świadectwem głębokiego zanurzenia w świecie szeroko pojętej kultury, i – co nie mniej ważne – coraz częściej ujawniającej się fascynacji obrazem filmowym traktowanym tu jako medium i natchnienie.

Liryka Andrzeja Buszy opalizuje symbolami, znaczeniami, a przede wszystkim imponuje mądrym namysłem filozoficznym. Refleksje poety układają się w bogatą galerię malarską i literacką, w której jedynie pozornie każdy obraz poetycki powinien być traktowany odrębnie. W istocie zaś wszystkie tworzą spójny i logiczny kod myślowy, i zdaje się, że właśnie z tak szerokiej, jednoczącej perspektywy wyłania się głębia i mądrość tej poezji.

***

Wieczór poezji Andrzeja Buszy zakończył się dyskusją i pytaniami gości zainteresowanych twórczością autora Astrologa w metrze, a także jego filozofią życia, o której subtelnie i najczęściej zagadkowo pisze w swych lirykach. Po spotkaniu w Toronto rozmawialiśmy jeszcze wiele razy o sztuce, literaturze, o

tym, co poetę porusza i inspiruje. Z każdej, nawet najkrótszej wymiany myśli, wyłaniał się nowy i chyba nie do końca odgadniony obraz pisarza i myśliciela, z uwagą obserwującego piękny, ale i zadziwiający świat.

Edward Zyman

Od wielu już lat Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Konsulatem Generalnym Rzeczpospolitej w Toronto organizuje cykl spotkań z polskimi twórcami. W dniu 25 kwietnia 2017 roku w gościnnym dla polskiej kultury torontońskim konsulacie RP z kilkudziesięcioosobową publicznością spotkali się dr Justyna Budzik, adiunkt anglistyki (od października – amerykanistyki) Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „Zadomowieni i wyobcowani". O sytuacji pisarzy polskich w Kanadzie oraz prof. Andrzej Busza – poeta, tłumacz, znawca twórczości Josepha Conrada, eseista i historyk literatury. Przedmiotem wykładu dr Budzik, przeprowadzonego w niezwykle atrakcyjnej formie emanującej bogactwem trafnych rozpoznań rozmowy z poetą – były wybrane wątki jego interesującej, pojemnej intelektualnie twórczości i inspirujących ją związków z literaturą i sztuką zachodnioeuropejską. Refleksje badaczki wspierała prezentacja czytanych po polsku i angielsku wybranych wierszy poety, także w jego sugestywnej

interpretacji. Choć pozornie mogłoby się wydawać, że ten w dużej mierze scjentystyczny, operujący językiem krytycznoliterackim dialog może okazać się zbyt trudny w odbiorze, wieczór okazał się pełnym sukcesem. Sprawiły to zarówno imponująca kompetencja krakowskiej badaczki, jej rzadka umiejętność mówienia o sprawach skomplikowanych w sposób prosty, zrozumiały i zarazem niezwykle barwny, jak i bezpretensjonalność, głęboka wiedza i duże poczucie humoru poety, który okazał się tak dla prowadzącej jak i dla publiczności rozmówcą wręcz idealnym. Organizatorzy nazwali wieczór, posługując się tytułem jednego z wierszy swego gościa, „Listem do wszechświata". I takim w istocie był – podejmujący najważniejsze problemy współczesności, głęboko osadzony w *universum* zachodnioeuropejskiej kultury i jednocześnie oznaczony dystynkcją osobistą, indywidualną, ukazującą wrażliwość i rozumienie świata konkretnego twórcy, związanego od ponad półwiecza z Kanadą polskiego (choć anglojęzycznego) poety – Andrzeja Buszy.

„Metamorphosis” w Warszawie. Fotoreportaż z wernisażu.



Otwarcie wystawy „Metamorphosis” w Warszawie. Od lewej: Kamila Wojciechowicz, Kathryn Hart, Basha Maryanska, fot. Sylwia Sokołowska.

W dniach 19-30 września 2017 r. w Warszawie, w Galerii SD Szucha 8, można było zobaczyć wystawę „Metamorphosis”, przeniesioną z *Howland Cultural Center* w Beacon nad rzeką Hudson, w stanie Nowy York w USA. Na wystawie zostały pokazane obrazy olejne Bashi Maryanskiej, rzeźby Kathryn Hart oraz malarstwo, grafiki i ręcznie wykonane kolaże Kamili Wojciechowicz. Mimo różnych technik, którymi posługiwały się artystki wspólnym mianownikiem było podobne patrzenie na

świat oraz energia emanująca z ich twórczości. Zdarzało się, że przybyli na otwarcie goście potrafili odczytać nastrój i intencje artystek. Tak było w przypadku Bashi Maryanskiej, gdy jedna z osób odwiedzających rozpoznała w abstrakcyjnym obrazie olejnym echa Powstania Warszawskiego, inspirowanego rodzinną historią i udziałem ojca artystki w Powstaniu.

Oficjalne otwarcie wystawy miało miejsce 21 września 2017 r.



Przed Galerią SD Szucha 8, fot. Basha Maryanska.



Galeria SD Szucha 8, fot. Basha Maryanska.



Basha Maryanska opowiada o swoich obrazach, fot. Andrzej Sokołowski.



Basha Maryanska i Sylwia Sokołowska, fot. Andrzej Sokołowski.



Prace artystek wzbudzały zainteresowanie. Na ścianie prace Kamili Wojciechowicz, fot. Sylwia Sokołowska.



Kamila Wojciechowicz na tle swoich prac, fot. Kacper Krauze.



Na wernisaż przybyli miłosnicy sztuki, fot. Kacper Krauze.



Kamila Wojciechowicz, Kathryn Hart, Basha Maryanska podczas wernisażu, fot. Sylwia Sokołowska.



Malarstwo Kamili Wojciechowicz, fot. Sylwia Sokołowska.



Malarstwo Kamili Wojciechowicz, fot. Sylwia Sokołowska.



Malarstwo Kamili Wojciechowicz, fot. Kacper Krauze.



Malarstwo Bashi Maryanskiej, fot. Sylwia Sokołowska.



Malarstwo Bashi Maryanskiej, fot. Sylwia Sokołowska.



Echa Powstania Warszawskiego na Tryptyku Bashi Maryanskiej, fot. Sylwia Sokołowska.



Malarstwo Bashi Maryanskiej, fot. Sylwia Sokołowska.



Basha Maryanska, Autoportret, fot. Sylwia Sokołowska.



Prace Kamili Wojciechowicz, fot. Kacper Krauze.



Prace Kamili Wojciechowicz, fot. Kacper Krauze.



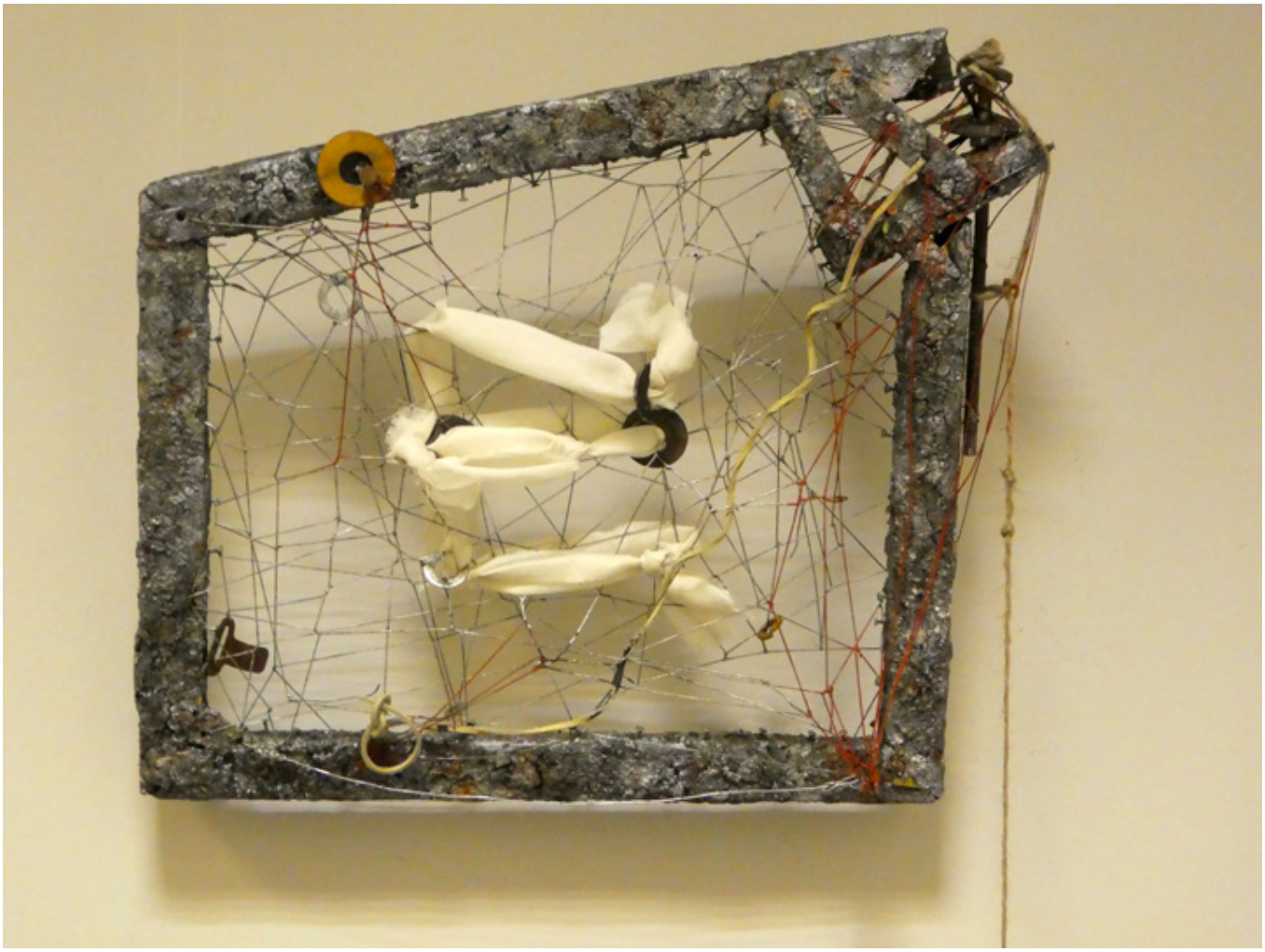
Prace Kamili Wojciechowicz, fot. Kacper Krauze.



Rzeźba Kathryn Hart, fot. Sylwia Sokołowska.



Rzeźba Kathryn Hart, fot. Sylwia Sokołowska.



Rzeźba Kathryn Hart, fot. Sylwia Sokołowska.



Rzeźba Kathryn Hart, fot. Sylwia Sokołowska.

O wystawie „Metamorphosis” na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/metamorfozy-bashi-maryanskiej/

http://www.cultureave.com/basha-maryanska-i-nowojorska--wystawa-metamorphosis-w-warszawie/

Człowiek to styl. Mieczysław Grydzewski (1894-1970)



Mieczysław Grydzewski, fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Florian Śmieja

Nie należałem do ścisłego grona współpracowników „Wiadomości”, niemniej przeto mieszkając w Londynie często spotykałem Mieczysława Grydzewskiego, a w pewnym okresie nieomal codziennie, w czytelni *British Museum*. Kłanialiśmy się sobie, niekiedy wymieniali kwerendy. Pracowałem wówczas w *School of Slavonic and East European Studies* jako asystent Jerzego Pietrkiewicza. Na miejscu mieliśmy bieżące i dawne numery „Wiadomości”, okazyjnie dostawałem egzemplarze od Antoniego Bormana, lojalnego administratora, którego nieraz odwiedzałem w pobliskim lokalu redakcji. Oczywiście, egzemplarze autorskie nadchodziły regularnie. Dopiero po

opuszczeniu Londynu tygodnik zaprenumerowałem i abonowałem do jego zamknięcia w 1981 roku.

Po odejściu ze *School of Slavonic Studies* do *British Museum* zaglądałem rzadziej. Ponieważ od czasu do czasu posyłałem do „Wiadomości" wiersze i *hispanica*, wywiązała się korespondencja, która trwała od roku 1955 do 1966, a dotyczyła głównie współpracy. Listy redaktora były lakoniczne, stwierdzające przyjęcie czy odrzucenie tekstów. Niekiedy zawierały komentarze, zapytania czy prośby. Wyłania się z tych listów obraz redaktora Grydzewskiego zapamiętany przez jego przyjaciół, zgoła odmienny od pomówień ludzi postronnych czy wręcz niechętnych, którzy stworzyli niedobrą famę, jakoby był on surowym pedantem, który z uporem godnym lepszej sprawy pilnował ustalonego przez siebie wzorca i nie pozwalał na żadne odchylenia od przyjętej normy. Ze zdziwieniem przeczytałem wypowiedź Marii Danilewicz Zielińskiej, zdaniem które:

> Grydzewski wykreślał, skracał i był bardzo despotyczny. Współpracownicy skarżyli się, że zostawiał połowę artykułu albo zmieniał słownictwo. Kultura, 10/637).

W tym miejscu warto może dodać, że aby się uporać z ogromną ilością pracy redakcyjnej, którą sam wykonywał, nie tracił czasu i każdy otrzymany tekst zaraz adiustował i poprawiał, zanim go

ostatecznie zakwalifikował do druku. Kiedyś odesłał mi artykuł przepraszając za poprawki już naniesione:

> (…) nie przypuszczając, że może nasunąć wątpliwości przystąpiłem od razu do adiustacji.

Z tego powodu, mówiono dość powszechnie, wziął się t.zw. „ujednolicony" styl wszystkich współpracowników „Wiadomości". Tyle legenda. A jaka była rzeczywistość?

W liście do Juliusza Sakowskiego Grydzewski powiada:

> Co do poprawek w artykułach wyjaśniłem i wiele razy już na ten temat mówiliśmy, że są to przeważnie propozycje (bez cudzysłowu), dzwonki alarmowe, sygnały ostrzegawcze i że nigdy nie mają na celu narzucenie autorowi swoich poglądów, ale ulepszenie podania jego własnych, co nie znaczy, by zawsze były słuszne i by autor nie miał prawa ich odrzucić. Osobiście jestem bardzo zadowolony i wdzięczny, jeżeli mi ktoś zwraca uwagę, nawet jeżeli się nie godzę: gdybym miał możność techniczną, każdą robioną przeze mnie notatkę dawałbym dziesięciu osobom do przejrzenia, nigdy nie dość poprawiania! Takie właśnie przygotowanie artykułów do druku uważam za swój obowiązek i nigdy się

> go nie wyrzeknę… Nie rozumiem drażliwości pod tym względem… Skala moich propozycji jest rozległa i jeżeli jestem uparty, to tylko jeśli chodzi o błędy językowe i fakty.

W liście do mnie z 11. stycznia 1958 roku Grydzewski napisał podobnie:

> Poprawki moje są zawsze propozycjami i autor rzecz prosta może je odrzucić.

Kiedyś w moim wierszu drukowanym w „Wiadomościach” znalazło się słowo „mrokiew” używane na Opolszczyźnie. Chodziło o czarne, burzę zwiastujące chmury. Redaktor prosił mnie o wyjaśnienie znaczenia. „Idzie mrokiew od Odry”, powiadali moi *outata*, czyli starzyk.

Grydzewski często radził. Kiedyś na łamach jego pisma polemizowałem z Józefem Łobodowskim, a warto dodać, że Grydzewski z zasady polemik nie lubił. Otrzymawszy mój list Grydzewski odpowiedział, że go zamieści, ale, sądził, że gdybym powiedział pewne rzeczy wyraźniej, to list byłby bardziej przekonywujący. Zaraz potem dodał:

> Naturalnie, to jest tylko moja rada, do której nie musi się Pan zastosować.

Poproszony o sugestie czy pomoc, służył chętnie lub usprawiedliwiał się pilnym wyjazdem, względnie wyjątkowo natężoną pracą. Niekiedy zasięgał mojej opinii w sprawach języka czy literatury hiszpańskiej. Jak dokładnie teksty roztrząsał, świadczy np. ustęp z Lorki, który analizował przy pomocy francuskiej i angielskiej wersji. Pisał wtenczas:

> Będę wdzięczny Drogiemu Panu, za przejrzenie i poprawienie na kopii, którą załączam wraz z oryginałem. W szczególności nie jestem pewny zwrotu „napiętnowana", bo „fletrie" francuskie ma podwójne znaczenie: napiętnowana lub zwiędnięta. Ponieważ narzeczona uciekła z kochankiem, więc prędzej jest napiętnowana, bo skoro młoda, nie może być zwiędnięta. […] Niech Drogi Pan nie traci czasu na uzasadnianie swoich poprawek, tylko poprawi jak wypracowanie ucznia.

Złośliwcy utrzymywali, że stosunek Grydzewskiego do poezji był raczej ambiwalentny. Mówili, że zapasy wierszy, dokładnie pomierzonych, czekały na stosowną okazję, gdy przy łamaniu

numeru powstają okienka, czyli białe plamy, do których redaktor dopasowywał wiersze według ich rozmiarów. Ja bym powiedział, że jeżeli tak było w istocie, to był to zabieg praktyczny, a pikantny szczegół dorzucił w liście do mnie Michał Chmielowiec, następca Grydzewskiego na stanowisku redaktora. Pisał on że”

> „Wiadomości” od lat gardziły tzw. aktualnością i Grydzewskiemu przewrotną przyjemność sprawiło zawsze drukowanie wierszy o wiośnie w listopadzie lub o kotlecie wieprzowym w Wielki Piątek.

Ogłaszanie wierszy nie zawsze było sprawą prostą. Po ukazaniu się mojego wiersza „Forsycja”, odezwał się z Caracas Józef Jenne, który w wierszu dopatrzył się ataku na siebie i w rewanżu napisał wiersz, nakazując Grydzewskiemu ogłosić go również na pierwszej stronie „Wiadomości”. Grydzewski przesłał mi do wglądu ów osobliwy list oraz do mnie zatelefonował, by mi zakomunikować treść odpowiedzi. Powtórzył ją w liście do mnie:

> Mianowicie, że nie dopatruję się w wierszu Pana żadnych aluzji politycznych, a jeżeli nawet są, dlaczego bierze je do siebie, skoro nie jest odwilżowcem, i że wiersza nie będę drukował.

Oczywiście Grydzewski miał świętą rację i pokazał, że poetycki idiom nie był mu obcy.

Na koniec wspomnę drobną jeszcze sprawę. Bawiąc w 1958 roku w Madrycie, pozwoliłem sobie zwrócić się do Grydzewskiego o sprawdzenie, czy British Museum posiada pewną książkę. Spełniwszy moją prośbę redaktor z kolei zlecił mi misję.

> Tak się złożyło, że właśnie pomyślałem kogo znaleźć w Hiszpanii, kto by załatwił mi pewien drobiazg. List przyszedł w samą porę. Będę wdzięczny Panu za przywiezienie mi butelki wody kolońskiej *Arpége* zdaje się *Lanvina*. Nie można tego dostać we Francji, bo jest wyrabiane na wywóz. Kosztuje około 120 pesetów: chodzi mi o butelkę nie większą, ale właśnie w tej cenie…

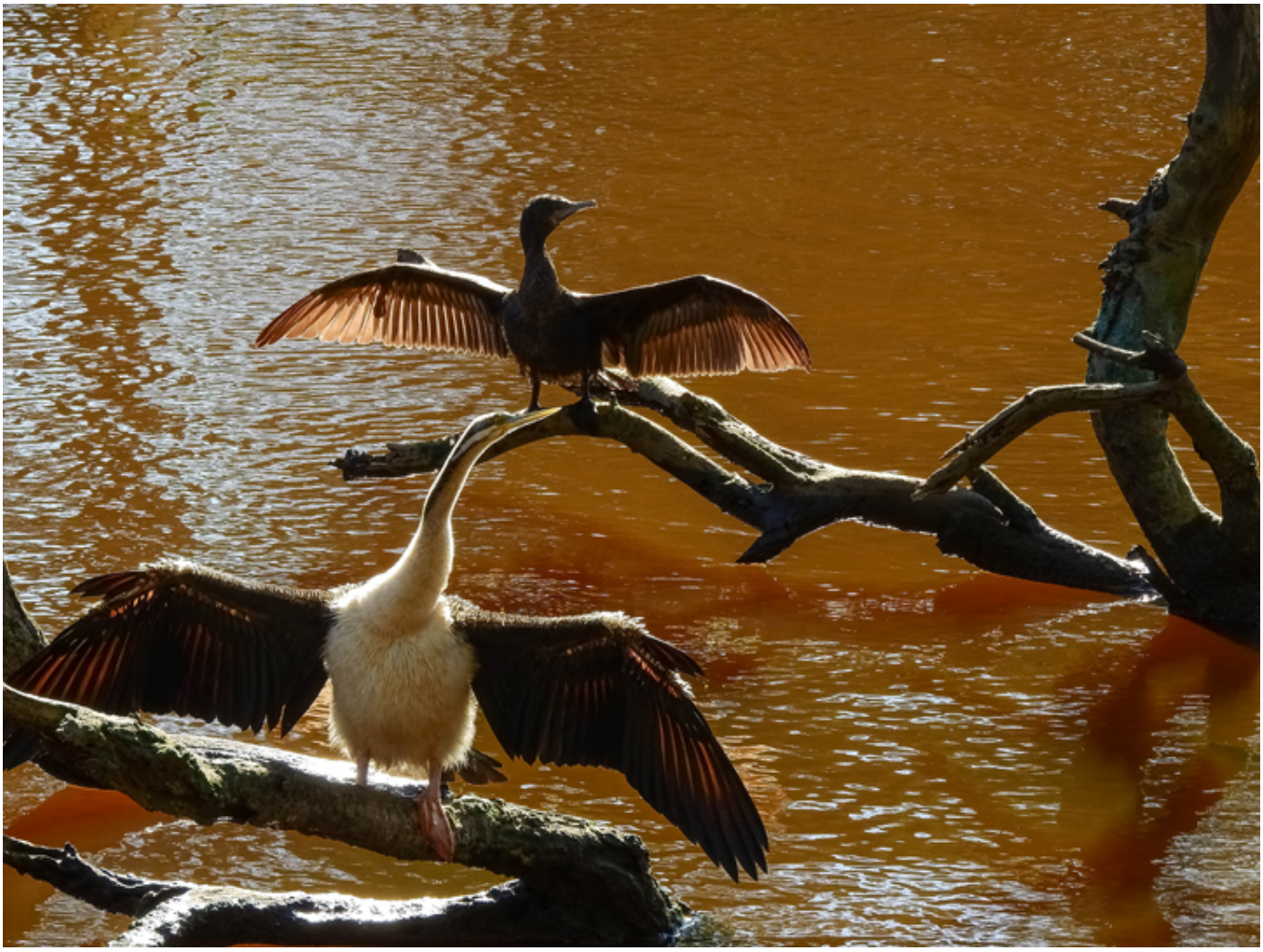
Swój pierwszy list, w którym Grydzewski zawiadamiał o odrzuceniu moich wierszy, zakończył kurtuazyjnym zwrotem: „Łączę wyrazy wysokiego szacunku”, ostatni, również odmowny, firmował „Łączę serdeczny uścisk dłoni”.

Człowiek to styl.

Na skrzydłach kormoranów – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Teksty: Adam Fiala



Na skrzydłach kormoranów

> Na skrzydłach kormoranów
>
> Uniosę się
>
> Gdy mała powódź zagraża



Deszcze zimowe

Deszcze zimowe

Na południu

Kreują barwę rzeki



Oznakowania

Oznakowania

Zabawki

Wezbranej rzeki Swan

„Miłosz w Krakowie” – książka Agnieszki Kosińskiej

Młodego Czesława Miłosza zauroczyła w Wilnie studentka prawa z lekarskiego domu. Pisał do niej czułe listy i wiersze. Związek z Jadwigą Tomaszewicz, późniejszą żoną

pisarza i awanturnika Sergiusza Piaseckiego, choć nigdy nie sformalizowany, przetrwał całe życie. Była muzą, doradczynią i podporą. Tego aspektu z życia noblisty dotyczy fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie”. Autorka towarzyszyła Czesławowi Miłoszowi przez ostatnie jego osiem lat życia, dzięki czemu możemy poznać poetę nie tylko jako twórcę, ale przede wszystkim jako człowieka.

Redakcja



Agnieszka Kosińska i Czesław Miłosz, fot. Joanna Helander.

28 maja 2004, piątek

Wczoraj CM (Czesław Miłosz, red.) poprosił mnie o poszukanie w listach od Jadwigi Tomaszewicz, które specjalnie przywiózł z Grizzly, listu, w którym opisuje ona swój pobyt w szpitalu. Przeglądnęłam i przeczytałam wszystkie i nie znalazłam, o czym opowiadam CM dziś na sesji roboczej w szpitalu na Skawińskiej,

a on wyraźnie ukontentowany, że o niej będziemy rozmawiać.

Agnieszka Kosińska: Wpierw przeczytam panu list od syna Jadwigi Władysława Tomaszewicza do pana, a potem list siostrzenicy Jadwigi Izy Lejwody do pana, bo one porządkują trochę zdarzenia w życiu Jadwigi i mówią o jej trzech pobytach w szpitalu: pierwszym w 1984 roku, kiedy nie mogła jechać do Jugosławii na pana zaproszenie, drugim w 1985 i w 1987, tuż przed śmiercią w roku 1989.

Po lekturze.

A.K.: Jeśli chodzi o komentarze samej Jadwigi o swoim zdrowiu, są bardzo znikome i oszczędne. W ogóle, panie profesorze, to była wspaniała i piękna kobieta.

Czesław Miłosz: Ona była żoną Piaseckiego.

A.K.: Wiem, Władysław był ich synem. Bardzo silna osobowość, z kręgosłupem, a przy tym prawdziwie szczodra i opiekuńcza, to bardzo rzadkie połączenie cech. Wspaniała po prostu. A jej komentarze literackie jakże trafne. Duża inteligencja.

CM (z wyrazem błogości): Cieszy mnie, że pani to mówi.

A.K.: A jakże nie mówić. Miał pan wielkie szczęście. Była pana

cicerone, dawała panu siłę, usuwając się całkowicie z pana życia. Napisała do pana tylko dziewiętnaście listów (wliczając w to kartki), a pan właściwie przy każdej okazji pisał do niej.

CM: (po dłuższej chwili): No, to podyktujmy.

Moja przyjaciółka, od której dostałem około dwudziestu listów, pisze o swoich kolejnych pobytach w szpitalach, ale zgodnie ze swoim temperamentem nie uskarża się i jedynie z rzadka wspomina na przykład o tym, że pobyt w szpitalu głęboko zmienił jej światopogląd. Dokładnie nie cytuję, bo nie mogę akurat znaleźć tego listu, ale wiem, że było tak.

Moja przyjaciółka Jadwiga, o której wspominam, nie była moją żoną, po prostu przyjaciółką, której zalety rozważam. Była dzielna, wspaniałomyślna i rzadko mówiła o sobie. Nasze małżeństwo, jej zdaniem, doprowadziłoby do licznych awantur, z powodu jej trudnego charakteru.

A.K.: Wręcz przeciwnie! Po lekturze tych listów myślę, że ona doskonale wiedziała, że bylibyście dobrą parą, ale nie mogła tego zrobić. Poczucie stosowności i tego, że musiałby pan skrzywdzić wielu ludzi, nie pozwalały jej na doprowadzenie pana do decyzji porzucenia życia, które pan wiódł, i osób, z którymi pan żył. Wiedziała wszystko to, o czym pan jeszcze nie wiedział, że w gruncie rzeczy to jest nieważne, z kim jesteśmy, że każdy ma

swój los, który spełni się tak czy owak. Dlatego trzymała pana na dystans, emocje na wodzy i od czasu do czasu zrażała pana swym „trudnym charakterem”. Jest takie piękne zdanie w jej liście [z 26 kwietnia 1983 roku]: „są dni, kiedy chętnie bym się z Tobą kłóciła, ale wieczorami i nocami Cię kochała, tzn. wtedy gdy piszesz – o co mi chodzi, lepiej nie pisać”. Tak więc z tym charakterem to nie do końca tak. Przecież Janka też nie miała łatwego charakteru, a związał się pan z nią.

CM: Ooo, tak!

A.K.: No właśnie. Gdzieś przeczytałam, chyba u Wata: „Był tak gniewny, jak tylko dobrzy ludzie potrafią”.

CM: Bardzo dobre zdanie.

A.K.: I proszę jeszcze pomyśleć, w jakich warunkach Jadwiga wychowywała syna, i to czyjego syna! W małym miasteczku Giżycku, samotna matka, jedyna żywicielka swej matki i dziecka. W jakim strachu ona żyła? Co myśleli sąsiedzi, widząc wykształconą i piękną kobietę gospodarującą samotnie w domku z ogrodem?

CM: Tak, doceniam to, co pani mówi, bo pani to zna częściowo z własnego doświadczenia. A teraz doceni pani fakt, że panią poprosiłem o przeczytanie tych listów.

A.K.: Oczywiście, choć moja sytuacja i czasy są raczej diametralnie inne. Dlatego uważam, że opieka nad bliskimi w sytuacji i warunkach Jadwigi to bohaterstwo.

CM: Myślę o tym, żeby tu powiedzieć o niej prawdę. O jej nazwisku.

A.K.: Myślę, że musimy spytać jej syna. Bo jednak Jadwiga nigdy tego za życia nie zrobiła. Władysław wprawdzie pozwolił na ukazanie się artykułu o poszukiwaniach ojca[1], ale wola należy do niego. Myślę, że znajdziemy formułę, jak zawsze.

CM: Noo, ja zrobiłem portret Niki.

A.K.: Ależ Nika Kłosowska to zupełnie inny kaliber sprawy i inna kobieta. Wielka miłośnica, peregrynatorka i wojażerka.

CM: Ma pani rację. Podyktuję jeszcze.

Było to więc wyrzeczenie się dobrowolne, ale nic teraz, kiedy o niej myślę, nie przeszkadza, żebym wygłosił pochwałę jej anonimatu. I nawet napisał coś w rodzaju miłosnej ody na jej cześć. I wielka litość, kiedy myślę o niej, o ostatnich jej latach, samotnych, w Polsce, o jej chorobach, o niej jako o kłębku bólu, skurczonej, bo ta pozycja nie narażała jej na ból, i o jej niedostępnej dla mnie śmierci. A przecie musiała jeszcze

pokonywać co dzień strach, że odkryją jej prawdziwe nazwisko.

A.K. (zbierając się do wyjścia): Proszę przez weekend pomyśleć nad Jadwigą i formułą. Na sobotę plan taki: do południa Władzia, potem Joanna Zach, potem Zagajewscy, po nich Toni. (dla rozbawienia dodałam:) Ta Joanna to jest niezłe ziółko.

CM: Że co!? (twarz CM zupełnie rozbrojona i figlarna, jakby usłyszał pytanie Jadwigi: „W kim się teraz kochasz, Czesio?") Teraz jak pani wyjdzie, będę znów rozmyślał, a te godziny wloką się, a potem ten cyrk ze spaniem.

A.K.: Nie może pan spać?

CM: Nie mogę.

A.K.: A musi pan? Ile godzin pan przesypia? Mój ojciec, któremu się zmarło w sześćdziesiątym siódmym roku życia i który zawsze mało sypiał, po pięćdziesiątce spał około czterech–pięciu godzin. Może pod koniec życia długość snu, którego potrzebuje organizm, się skraca? A pan chce na siłę wydłużyć. To się może nie udać.

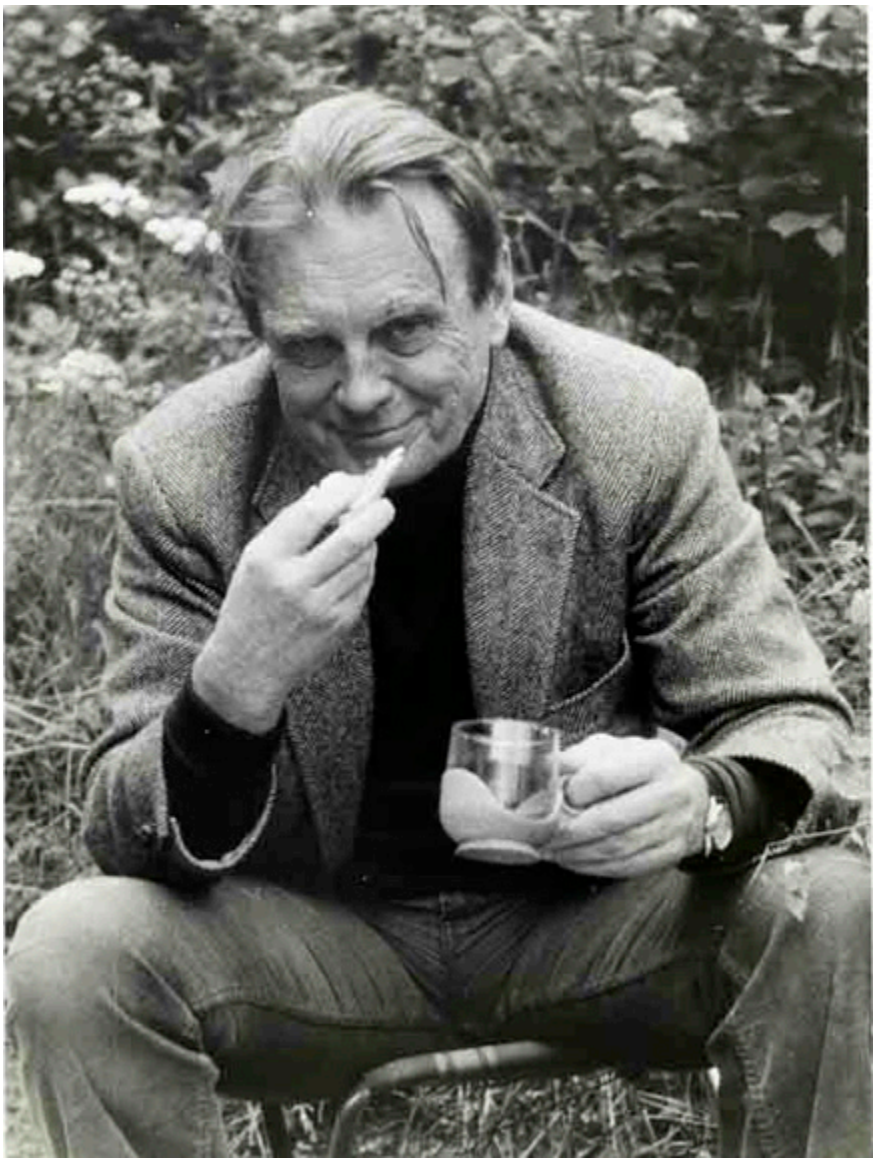
CM: Noo, nie wiem.

A.K.: No dobrze, za chwilę przyjdzie Toni, musi się tylko zebrać,

a jak pan wie, to trwa. Chyba że pójdę i go wykopię?

CM: Tak, proszę iść i go wykopać.

A.K.: Dobrze.



Czesław Miłosz w Burgundii, fot. Andrzej Miłosz. Copyright © by Grażyna Strumiłło-Miłosz and Joanna Miłosz-Piekarska. Wszystkie prawa zastrzeżone: kosinskamiloszwkrakowie.com

Idę Skawińską, Krakowską, Stradomiem, Gertrudy, Sebastiana, swoją stałą trasą na Bogusławskiego, i myślę o tym, o czym nie powiedziałam CM, a w czym nasza rozmowa i sposób, w jaki o niej mówił (błogość nieschodząca z jego twarzy), właśnie mnie utwierdziły. Że Jadwiga była jego duchową opiekunką, powiernicą idealną. Że choroba Janiny, na którą to chorobę lekarstwem, upraszczając nieco, była Renata, a potem Carol, że ten całożyciowy Miłoszowy galimatias był do zniesienia dzięki Jadwidze i dzięki temu, że składał jej sprawozdanie ze swojego życia, że właściwie powierzył jej siebie. A było to możliwe, bo Jadwiga go nie potępiała, rozumiała jego grzechy i słabości, i wiedząc o nich, w jakimś sensie brała je również na siebie. Była kobietą, która umie delikatnie prowadzić słonia. Nie rezygnowała ze swojej kobiecości, w listach była odrobinę zalotna, melancholijna, ale i dowcipna i ironiczna, świetnie oceniała ludzi. Umiała go pocieszyć, skarcić i umocnić. Czasem jest zniecierpliwiona jego wydumanymi problemami i pisze mu o tym. Ma Czesława za kogoś trochę dziecinnego, komu się wiele wybacza. W kartce z 1 grudnia 1983 roku pisze: „W tym świątecznym czasie cofnij się raz na ulicę Portową, pójdź w nasze wysokie pokoje, stań pod piecem i wspomnij czasy niewinności". Jakże wiele z niego rozumiała! Najważniejsze tęsknoty CM, z których jego dzieło: za niewinnością, za krokiem wstecz. *Apokatastasis*. Przywrócenie. Wiele jego najpiękniejszych wierszy powstało omyte światłem, które promieniowało z jej osoby. W jakimś sensie „wczesne kochanie spełniło się było"

(z wiersza *Mała pauza*), bo przekształciło się w silne przywiązanie, dosłownie po grób. Po dwa groby: jej i teraz jego. Była ukochaną idealną. Może nawet idealizowaną, co jest doprawdy bez znaczenia, choć akurat dla CM miało to znaczenie, że mógł się nieledwie modlić do ziemskiej królowej, a była nią ona. Bo CM musiał podziwiać, i lepiej, żeby obiekt był tego godzien. Również związek z Carol mógł być możliwy dzięki jej, Jadwigi, czuwaniu, a potem jego pamięci o niej. Tak, była patronką Czesława. A ponieważ poznał ją na studiach w Wilnie i tam zaczęła się ich miłość, była też łączniczką z dawnymi laty, z tamtą ziemią, skąd oboje nie wyjechali nigdy tak naprawdę, choć mieszkali na dwóch planetach i w jakże odmiennych światach. Tak, jego myśli biegły do niej, jej urok spleciony z Litwą trwał. Życie i dzieło poety skąpane jej światłem. Była też tajemnica. Bo jak kobieta takiego charakteru mogła zejść się z takim „awanturnikiem" jak Sergiusz Piasecki? Przeciwieństwo Czesia? A może nie? W jednym na pewno się różnili: Sergiusz był brawurowo odważny, był mężczyzną czynu, i to zbrojnego: żołnierz kampanii 1920 roku, potem w wywiadzie, tzw. Dwójce, niestroniący od ryzykownych nielegalnych akcji (przemyt), co w końcu doprowadziło go do więzienia. Cześ – z przeciwnego brzegu: człowiek literatury, a jego straceńcze wybory życiowe dyktowała raczej bezkompromisowość co do własnej niezależności twórczej niż cywilna odwaga. Nie mogę wyrokować jednoznacznie, że CM był w porównaniu z Piaseckim człowiekiem słabym, tchórzliwym, zadręczał siebie i innych

swoimi wrażliwościami, urazami. Mam za mało danych. Nie znałam Sergiusza osobiście, a i CM znałam pod koniec jego życia. Piasecki, zdaje się, był prosto skrojony: nie hamletyzował, nienawidził bolszewizmu, żył mocno i po swojemu, to znaczy był wierny tylko swoim rozkazom: nie złożył ślubowania AK, odmówił wykonania wyroku na Mackiewiczu. Nieufny, tak jak tylko wielki samotnik może być, wobec wszelkich systemów i instytucji, ale także niehonorowych ludzi i zachowań (takim mógł się jawić mu Miłosz, ale i Wańkowicz). Człowiek wielu talentów, bardzo sprawny fizycznie, skazany za napad pod wpływem kokainy, osadzony w jednym z najcięższych więzień, na Świętym Krzyżu, uczy się tam języka polskiego i pisze w tym języku słynną później powieść *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Musiał być człowiekiem fascynującym, o niebywałym charakterze. Witkacy namalował cztery jego portrety. Pytanie: dlaczego Piasecki tak nienawidził (to chyba nie za mocne słowo) CM? Czy tylko z powodu Jadwigi? Wydaje się, że jednak przede wszystkim z powodu akcesu CM do powojennego ładu, to jest służby w dyplomacji rządu komunistycznego. Pełnokrwista powieść o losach tak odmiennych jak CM i S.P. byłaby wyzwaniem. I Miłoszowi Piasecki jawił się jako postać fascynująca: pamiętam, kiedy rozmawialiśmy o Jadwidze, CM pytał mnie, czy jest jakaś współczesna książka (oprócz bardzo dobrej Krzysztofa Polechońskiego *Żywot człowieka uzbrojonego*), która opisywałaby te niezwykłe przemytnicze przygody Piaseckiego.

29 maja 2004, sobota

Prawie cały dzień spałam. W takie dni nie czuję swoich konturów. Wzięłam do domu listy Jadwigi i Czesława, żeby raz jeszcze sprawdzić, gdzie ten poszukiwany cytat się zapodział. Wypisuję kilka zdań, które mnie zatrzymały. „Każdy mocny eliksir miłosny zatrzymuje czas" (kartka CM do J.T. z 31 sierpnia 1984). „I czyżby to tak było przeznaczone, żebym ja miał być tym dębem i pielęgniarzem? Żeby mój egoizm odkupić" (3 lutego 1984). Jeanne[2] „moja confidante" (9 listopada 1984).

Koniec roku 1983 i początek 1984 to bardzo trudny czas dla CM – rozstanie z Renatą Gorczyńską: „więc nie tylko zawód miłosny. Cudowna inteligencja i zupełna neurotyczność". Radzi się J.T. Rok 1985: Izrael, Londyn z Carol „moją przyjaciółką" (15 marca 1985). „To nieprawda, że ciebie nie kochałem" (14 lutego 1985). „Kochana Jadwigo, Tak dużo w myśli z Tobą rozmawiam" (14 kwietnia 1985). Karta z Rzymu z 1986 roku, po prywatnej kolacji u Papieża po śmierci Janiny. I jedna z ostatnich: „Carol szaleje w ogrodzie, sadzi nowe krzaki pnące i niepnące. A ja dzisiaj rano z okna kuchni zobaczyłem nowy gatunek drozda, który gnieździ się na północy i tu bywa tylko w zimie" (22 lutego 1988).

Jestem bardzo wdzięczna tej osóbce (nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie, że to dziewczynka), która codziennie, uparcie gra gdzieś nad moim mieszkaniem preludia Bacha (i trochę Garści). Codziennie to robi. Czyli coś każe jej to robić. Pomimo

tego, co wokół i co zawsze przeszkadza. I, czy jej to wychodzi, czy nie, jest to Bach. Kiedy jej się nie udaje, przerywa, wraca do początku, jest to nawet lepsze. Widać wtedy nieomylną sekwencję. Skończoną, bolesną doskonałość w tym dziecinnie prostym układzie.

W tej książce, czego trochę się wstydzę, co chwila strzelam do czytelnika z Bacha. Nie znam się na muzyce, choć dużo (i każdego gatunku) słucham, ale tylko Bach wówczas zdawał egzamin i sam wchodził w ręce.

Fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie", SIW Znak, Kraków 2015, s. 764.

Copyright © by Agnieszka Kosińska i Wydawnictwo Znak, 2015. All rights reserved.

> Agnieszka Kosińska, biografia. Czesław Miłosz, książki, dzieła, kalendarium.

[1] Rozmowa Edmunda Szczesiaka z Władysławem Tomaszewskim, *Kochankowie Wielkiej Niedźwiedzicy*, „Przegląd Polski”, 21 listopada 1990.

[2] „Moja powiernica” to Jeanne Hersch.

Artykuł prof. Floriana Śmieji na temat Sergiusza Piaseckiego:

http://www.cultureave.com/sergiusz-piasecki-wedle--camila-jose-celi/